№ 13. Warszawa, dnia 15 (27) Marca 1875 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBOT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Przy Kolebce!

PRZEZ

Anastazyę Dzieduszycką.

(Dalszy ciąg).

V.

Matka lub mamka karmi dziecię 9 miesięcy albo rok: zwykle już w piątym lub szóstym miesiącu, pokarm ten dziecięciu nie wystarcza, należy go więc dopełniać mlekiem krowiem, czystem lub z kaszką hreczaną, albo grysikiem pszennym lub grzanką z bułki rozgotowaną, a nawet małemi ilościami lekkiego rosołku.

Od pokarmu Matki nie należy dziecka odzwyczajać czyli odłączać w przeciągu dni kilku, jak się to teraz zwykle z nadwerężaniem zdrowia dziecka dzieje, ale przeznaczyć na to kilka tygodni w ciągu których stopniowo pokarmy gotowane coraz obficiej podawane dziecku być mają, pierś coraz rzadziej.

Dopóki dziecię nie ma kilku ząbków nie należy mu dawać pokarmów wymagających żucia, chyba skórkę twardą z chleba, którą gryząc ząbkowanie sobie ułatwia. Dopiero gdy kilka ząbków dostanie dodawać potrzeba do dawnego pożywienia gęściejsze kaszki, ryż i sago rozgotowane, mięso, zacząwszy od kotlecików miękkich z białego mięsa. Pożywienie winno być dawane dziecku cztery razy na dzień, tak, aby rano dostawało mleko z grzaneczką, koło dziesiątej lub jedenastej jakąś kaszkę albo rosołek, mięso o drugiej, mleko parę godzin przed snem nocnym: od chwili odłączenia, dziecko w nocy żadnego pożywienia dostawać nie powinno. Lepiej jest podawać dziecku jedną tylko naraz potrawę: gdy mu dwie naraz podajemy, dziecię zwykle spożywa tylko jedną z nich, ulubioną a najczęściej nie najzdrowszą, a drugiej nie chce: w każdym zaś razie ponieważ dziecię je bardzo powoli, druga potrawa stygnie, a pokarm zimny zdrowym być nie może.

Największą na to zwracać należy uwagę, aby dziecku pomiędzy zwykłemi godzinami jedzenia nic zgoła jeść nie dawać; do czego bardzo trudno zmusić piastunki, lubiące każden kaprys dziecka przerwać daniem mu kawałka chleba, bułki, ciastka, cukru. Takie nieprawidłowe żywienie psuje zdrowie dziecka, odbiera mu chęć do jadła w właściwej godzinie, i wszczepia weń bardzo złe a nader trudne do wykorzenienia przywyknienie: jest to jedna z przyczyn dla których niemożna pozwalać piastunkom jeść w pokoju dziecka, bo żadna nie oprze się pokusie, dania dziecku tego co je sama, bez względu na to czy to zdrowe.

Do lat trzech musi mieć dziecię odrębną kuchnię, taką o jakiej mówiliśmy, z dodawaniem stopniowem większej ilości mięs, jarzyn w małych ilościach, owoców w kompotach; pożywienie to musi być świeżo przyrządzone, a chociaż nie należy doń dodawać rzeczy drażniących i rozpalających, jakiemi są korzenie, wino i t. d., soli jednak i cukru po trochu używać potrzeba tak dla zdrowia dziecka, jak dla smaku potraw. Od trzeciego roku stopniowo dziecię przyzwyczajać należy do pożywienia dorosłych, zawsze wykluczając wszystko co służy jedynie do zaostrzania zepsutego smaku łakotnisiów. Wystrzegając się hołdowania wyłącznego zbyt ciasnym teoryom higienicznym, z których jedne zalecają wyłączne karmienie dziecka mięsem, inne przeciwnie mięso wykluczające, każą się ograniczać do pokarmów, mlecznych, mącznych i roślinnych: powinny Matki stosować pożywienie dziecka do jego organizmu wzmacniając dzieci słabe, bezkrwiste, mięsnemi pokarmami; zbyt krwiste i nerwowe, uspakajając niejako pożywieniem chłodzącem.

Niemniej jest ważne działanie na rozwój dziecka wpływem ochędóztwa ruchu i powietrza i o tych nam słówko powiedzieć należy.

Malutkie dziecię częściowo myte kilka razy na dzień wedle potrzeby, ochędóztwo swe zawdzięcza głównie codziennem kąpielom. Dziecię ma być kąpane codzień rano, lecz nie natychmiast po przebudzeniu, kiedy jest jeszcze rozgrzane, kąpie się je w niecułkach stojących na podstawie dość wysokiej, by osoba kąpiąca je schylać się nie potrzebowała. Na dno niecułek kładzie się grube płótno czyste złożone w kilkoro, tak aby pod główkę zrobić malutkie wywyższenie; piastunki często lubią zastępować płótno czyste, użytemi już pieluszkami i koszulkami, bez względu na to, że w ten sposób cel kąpieli jakim oczyszczenie ciała dziecka, jest chybiony a nadto cierpi na tem nieraz wzrok dziecka, zaognia się jego delikatne ciałko. Woda do kąpieli przeznaczona, powinna mieć 28 stopni Reaumura najlepiej przekonać się o tem za pomocą termometru sprzętu niezbędnego w każdym domu, a w braku tego, zanurzeniem łokcia a nie palca, palec bowiem zbyt się z ciepłem oswaja i w krótce się nieczułym nań okazuje.

Dziecię jeno pieluszką okryte zanurza się całe w wodę, główkę podtrzymując lewą ręką, i zaczyna się obmywanie ciała od wymycia oczów wyłącznie na ten cel przeznaczoną miękką gąbeczką (gąbki mają być w woreczkach ceratowych chowane) zważając na to, aby prowadzić gąbkę od kąta zewnętrznego (położonego bliżej ucha) do kąta wewnętrznego (położonego bliżej nosa) a to z tego powodu, że w kącie wewnętrznym, nagromadzają się zwykle wypociny które należy z oka oddalić nie rozwlekając po oku. Następnie inną wyciera się resztę ciała, lekko lecz starannie: trzecia gąbeczka powinna być zawsze pod ręką do częstych a niezbędnych obmywań, najmniej czystych części ciała. Wszystkie części ciała przylegające jedne do drugich jakoto: pachwiny, pachy, szyjkę, dobrze po wykąpaniu i wytarciu dziecka obsypać mąką hreczaną, lub ryżową albo magnezyą, chroni to ciało od ranienia się. Jeżeli na głowie dziecka, tworzy się tak zwana ciemieniucha, rodzaj tłuszczowego ciemnego pokładu, należy go kilka godzin przed kąpielą po-

smarować czystą oliwą, okryć cieniutkiem płóciennkiem, a w kąpieli obmyć wodą z mydłem i póty to powtarzać, dopóki ciemieniucha nie zniknie. Dziecię wyjęte z kąpieli, potrzeba okryć cokolwiek ocieploną pieluszką i flanelą, zanieść na łóżko i tam starannie otarłszy pozwolić mu się pobawić chwilę, poczem smacznie zaśnie. Kąpiele przerwać należy ilekroć dziecię ma katar, kaszel, hrypkę, cierpi na żołądek, albo gdy spostrzeżemy na jego skórze jakie zaczerwienienie lub wyrzut: po skończonych sześciu miesiącach można kąpiele powtarzać tylko dwa razy na tydzień, a za to dziecię, zmywać całkowicie dwa razy na dzień letnią wodą, niezapominając o tem, że ochędóztwo ciała nie tylko jest potrzebne dla jego ozdoby, lecz dla jego zdrowia, a więc nie przestawać na częstem myciu widocznych części ciała, lecz dbać o to, by całe ciało zawsze czystem było; a chcąc dziecię od przeziębień ochronić, gruntowne mycie np. nóżek i głowy przedsiebrać wieczorem. Dopiero po trzech leciech skończonych stopniowo przechodzić do obmywania zimną wodą, tak aby dziecię szczególnie starannie miało zimną wodą wytarte, szyję i kość pacierzową: wycieranie kości pacierzowej wzmacnia nerwy, szyi zgrubia skórę i od zaziębień chroni.

Dopiero po trzech leciech skończonych, można w naszym klimacie dziecko w zimie wyprowadzać na świeże powietrze i to nie bez względnie, zrazu tylko do 4 stopni mrozu: z wiekiem stopniowo je do coraz ostrzejszej przyzwyczajać temperatury, tak, aby dziecię po 7-miu leciech skończonych, mogło na wszelkie zmiany powietrza być narażane. Dziecię urodzone w późnej wiośnie lub w lecie, może być wynoszone na świeże powietrze już w parę tygodni po urodzeniu, ale tylko we dnie zupełnie pogodne, w południe, w miejsca od wiatru zasłonione, zwracając uwagę na to by na zbytni skwar i blask słońca wystawionem nie było. Łepiej jest aby dziecię przytem leżało w wózku, a nie było noszone, bo w tym ostatnim razie rozgrzewa się zbytecznie. Dążąc do oswajania stopniowego dziecka ze zmianami powietrza, wystrzegać się w naszym klimacie należy zrazu, chłodu rannego, i tego co po najgoretszym nawet dniu, po zachodzie słońca następuje, rosy, sadzania dziecka na ziemi lub kamieniach, wiatrów silnych, szczególniej północnych i północno-wschodnich.

Siła i kierunek wiatru, wpływa u nas przeważnie na stan temperatury; ztąd nieraz blisko domu i obejścia, w ogrodzie, jest nader ciepło, a jeźli wyjdziemy na otwarte pole, chłód nas przejmie i zmrozi; dla tego oddalając się cokolwiek od domu z dzieckiem potrzeba mieć zapaśne ciepłe okrycia: piastunki i bony zwykle tego nie przestrzegają, i dziecię często na przeziębienia narażają; dla małego dziecka bieganie i wożenie ręcznym wózkiem bezpieczniejszemi są od przejażdżek powozem, przy których dziecię na owe nagłe zmiany temperatury narażonem bywa.

Odzienie dziecka wyprowadzanego na świeże powietrze, powinno być o ile możności lekkie a ciepłe, ciężkie męczy dziecię, krępuje swobodę jego ruchów sprowadza poty wycieńczające i narażające na przeziębienie za najmniejszym chłodu powiewem, obuwie też lekkie nie powinno przepuszczać wilgoci. Dziecię jest stosownie odziane, gdy na świeżem powietrzu ręka jego zachowuje zwykłą temperaturę: gdy dziecię ma wyjść, odzienie jego musi być lżejszem a nieżeliby było gdyby miało być wiezione, bo dziecię za pomocą ruchu wytwarza znaczną ilość ciepła. Jeżeli dziecię zmęczywszy się bieganiem, rozgrzane chce usiąść, odpocząć, uważać należy by siadło w miejscu zacisznem i pot z czoła, twarzy i szyi otarłszy, okryć czem dopóty dopóki nie ochłodnie; dziecka rozgrzanego w pokoju nie można wyprowadzać na świeże powietrze, rozpieczonego na świeżem powietrzu nie wprowadzać do bardzo zacienionych ulic, lub pokoju sztucznem osłanianiem okien ochłodzonego, piwnicy, lodowni i t. d. Napój dziecka zawsze powinien być świeży, nigdy lodem ochładzany; dziecku rozgrzanemu pod żadnym warunkiem, ani kropelki wody dać nie można, zrazu piastunka i Matka wciąż czuwać muszą nad zachowaniem tych koniecznych dla zdrowia ostrożności, z laty stopniowo należy wzwyczajać dziecię aby samo do nich się stosowało i o nich pamiętało.

Pedagogowie i lekarze pragnąc z wychowania błąd jaki zakorzeniony usunąć, nie raz w przeciwną wpadają ostateczność: i tak po pewnym okresie zbytecznego wypieszczenia fizycznego dzieci, przerzucili się obecnie w zbyt gwałtowne ich hartowanie. I tak, gdy dawniej zalecano troskliwe obwiązywanie szyi dziecka, tak dziś starannie wzbraniają wszelkiego jej osłaniania, a prawda leży jak zwykle po środku.

Bo możnaż w klimacie w którym lud szuka ochrony od zimna w chustkach, któremi szyje i głowy otacza, dziecię o wrażliwej skórze i błonkach delikatnych wystawiać na zimno bez okrycia? W pokoju dziecię nie powinno mieć okrytej szyi, przy przeprowadzaniu go przez zimne korytarze lub wyprowadzając na zimne powietrze, należy szyję jego osłonić chustką bawełnianą albo jedwabną (wełniane zbyt rozgrzewają) albo baszłykiem z tkaniny lekkiej wełnianej, podszytym jedwabiem lub drugą podobną tkaniną; od lat pięciu do siedmiu można stopniowo dziecię od tych osłon odzwyczajać, dając je tylko przy coraz dotkliwszym zimnie, tak aby dziecię 9-o lub 10-o letnie, tak samo odziewanem być mogło jak dorosłe osoby. Kaftaniczki flanelowe lub trykotowe wełniane noszone pod sukienką zbyt też rozgrzewają, zaledwie w zimie na mróz znaczny narażając dziecię, i chcąc je ciepło a lekko ubrać, uciekać się do nich można; w pokoju i podczas umiarkowanych chłodów o wiele stosowniejszemi są kaftaniczki trykotowe bawełniane kupne, lub na drutach w domu zrobione.

Obuwiem dobrem na zimę są buciki z filcu z grubą podeszwą, wierzchnią część nogi chronią dobrze kamasze z sukna lub włóczkowe na drutach sporządzone.

(d. c. n.).

Biedna Dziewczyna.

— Mój Boże, nie mogę przyjść jeszcze do siebie
Z podziwu od takiej śmiałości...
Nie dosyć że prawi o sercu — o niebie —
Śmie żądać ode mnie miłości!

Nic z tego mój Panie! nie takam naiwna,
Od czego rozumek... powaga.
Lecz zkąd mu to przyszło? zaiste to dziwna...
Wyznanie... to czysta zniewaga!

Gdyby choć zapytał, czy Zosia pozwoli
Kochać się... to jeszcze pół winy....
Lecz słowa nie mówił! a przecież to woli
Powinien zostawić Zosinej!....

— Zawinił, to prawda, lecz czyż mam dla tego
Gniewać się tak ważne powody?...
A taki był smutny... ej! żal mi biednego...
Pokochał... no trudno... wszak młody!

Lecz cóż ja tu poczne... tak jakoś drżę cała —
Co powiem gdy mię znów zapyta?...
A tak był uprzejmym... czyżbym go kochała?....
Nie... nic mu nie powiem — i kwita!

Nic? to znów niegrzecznie... a gdyby... a może...
A jak się zabije chłopczyna? —
O! nie chcę... już wolę powiedzieć... mój Boże
Ach jakaż ja biedna dziewczyna!...

Kazimierz Niemierowski.

KLIN KLINEM.

NOWELLA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Similia similibus curantur.

(Ciąg dalszy).

Starzec się trzymał prosto, sztywnie, z powagą nieco przesadzoną, nosił wysoką trzcinę w ręku i czapkę czworograniastą. Całą jego rodzinę bliską składała żona sztaruszka, JM. Pani Katarzyna, maleńka kobiecina, gadatliwa, nie widząca daleko i surowo utrzymywana przez jegomości, który ją kochał jak dziecię. Była od niego o jakie lat dwadzieścia młodszą. Szczątki piękności wydawała jeszcze mała pomarszczona twarzyczka, a pulchniutka figurka zawsze była przybrana z wielką czystością i staraniem. Burgrabia przyznawał się czasem, że się w żonie dotąd kochał, jak gdy—dodawał śmiejąc się—to głupstwo zrobił że się z nią ożenił. Do podobnych mniej grzecznych konceptów jejmość była przywykła, nie nadwyrężały one małżeńskiego pożycia.

W pierwszych latach po pobraniu się, Prozorowiczowie mieli syna — było to dziecię wielkich nadziei, stracili go piętnastoletnim i dotąd opłakać nie mogli. Sama chodziła co tygodnia na cmentarz na grób Stefunia, on wspominał często o nim ze łzą w oku.

Staruszkowie zajmowali prawą część dworku sienią na przestrzał przedzielonego— na lewo były trzy pokoje pańskie, ze staroświecka umeblowane, zawsze gotowe na przyjęcie Marszałkowej. Był to rodzaj pokoju bawialnego z kanapą, krzesłami, kantorkiem i piecem kaflowym... gabinet i sypialnia.

Od dawna Znińscy mieli też tu kredens, kuchnię i wszystko czego w czasie pobytu potrzebować mogli. Nie było wytwornie, ale czysto i zacisznie. Oboje Prozorowicze tak sumiennie strzegli tego pustego mieszkania, iż mając choćby największej gości i najpilniejszą potrzebę posłużenia się niem, nigdy go nie tknęli. Co tydzień służąca robiła tu porządek, otwierano okna, a zimą kiedy niekiedy przepalano, ażeby niedopuścić wilgoci.

Prozorowicz pędził życie dosyć próżniacze na pozór, ale go wszystko jeszcze żywo obchodziło, miał jedną lub dwie gazety, aby się z nich coś *de publicis* dowiedzieć; czasem tylko czytywał, na nabożeństwa pilno uczęszczał do katedry i ze znajomemi obcować lubił.

Sprawy gubernialne, prowincyi, miasteczka, wypadki jarmarków Berdyczowskich, zmiany urzędników, procesy obywateli, rzeczy kościelne, żywo go interesowały. Nikt nad niego lepiej nie znał stosunków obywatelskich na całym Wołyniu, na Polesiu

wołyńskiem, z jednej strony po za Uściług, z drugiej aż ku Kijowu. Topografią prowincyi, stan lasów, spławy, wyrób drzewa znał doskonale... Niepotrzebujemy nawet dodawać, iż swe szlachectwo wysoko nosił. Tradycye domowe, w najszerszem ich znaczeniu umiał na palcach... A jednak od lat kilkudziesięciu już prawie się z tego dworku nie ruszał.

Grzybowicz rozstawszy się z Bernardem namyślił się nieco i wprost kazał jechać do dworku Znińskich. Wiedział już o przybyciu Marszałkowej. Prozorowicza zaś znał dobrze z widzenia, choć z nim mało miał stosunków. Gdy się dorożka zatrzymała... jeszcze nie miał czasu wysiąść z niej prawnik, gdy w ganku pośpiesznie dybiący na jego spotkanie, ukazał się Prozorowicz gładząc swą podstrzyżoną czuprynę.

— Pana Burgrabiego...

— Do nóg upadam, Mecenasa

— Pani Marszałkowa jest?

Prozorowicz siwemi przenikliwemi oczkami spojrzał mu prosto w źrenice — aż się zmieszał Grzybowicz. Zdawał się pytać—a z czemże to do niej przybywasz?

— Pani Marszałkowa jest — rzekł powoli — ale — czy przyjmuje kogokolwiek, nie wiem, nie bardzo zdrowa. W każdym razie, gdybyś Mecenas był łaskaw zajść do mnie...

Tu się ukłonił.

— A no, bardzo dobrze...

Prozorowicz otworzył drzwi do pokoju na prawo.

Tu weselej było i ładniej niemal niż na przeciwko w rzadko zajmowanej pustce. Pokój bawialny wylepiony był obiciem świeżem w kwiaty... doniczek na oknach stało pełno, kanarki świergotały w klatkach, stary mops wyszedł mrucząc Mecenasa obwąchać, a stara Prozorowiczowa wstała od krosienek z włóczkową robotą, dygając gościowi.

Na znak jakiś tajemniczy dany przez męża, wzięła kluczyki i zakręciwszy się fertycznie, jak na swój wiek, wyszła, mopsa za sobą nieodstępnego prowadząc.

Prozorowicz prosił siedzieć — sam poszedł drzwi któremi żona wyszła przymknąć hermetycznie. Twarz miał zafrasowaną. Siedział przy Mecenasie.

— Pan pewnie w tym nieszczęśliwym interesie, albo od syna... albo od...

— Od syna szepnął Grzybowicz, który wiedział że z Prozorowiczem otwarcie mówić było można.

Prozorowicz ręce załamał.

— Tego nam nieszczęścia było potrzeba! zawołał — Marszałkowa, jakkowiek to *hic mulier*, choć poznać po sobie nie da, zagryzie się.. Licho wie co to nas kosztować będzie a chłopcu na całe życie zaszkodzi.

Nie! nie! — zawołał rękę podnosząc do góry w której trzymał razem tabakierkę i chustkę—nie! nie ma nieszczęścia jak przez kobiety... *Fae— mina!* dobrze nazwana... *Pfe! pfe!* Na zgubę naszą stworzona... Kara Boska—i kwita.

— Panie Burgrabio — narzekać nic nie pomoże, radzić należy.

— A z czemże asindziej przychodzisz? zapytał Prozorowicz.

— To łatwo się dorozumieć, syn matki błaga, aby mu jego zobowiązania spełnić dozwoliła. Kocha się i chce się żenić!

— Zapewne! zawołał Burgrabia—żenić się—jemu, młokosowi? z kim... za pozwoleniem... z tą flądrą.

Tu umilkł gładząc się po łysinie i począł innym tonem.

— Mnie tam do tego nic— niech Marszałkowa robi co chce... niech pozwala, nie pozwala... to nie moja sprawa, czy tak czy owak bieda i skaranie Boże.

Zwrócił się potem do Mecenasa.

— Panie! pan już wiek tego szałapuctwa przeszedłeś, człowiek jesteś stateczny, powiedz mi jak sądzisz, ten młokos nieszczęśliwy... czy my go weźmiemy głodem?

— Ani groźbą ani głodem, odparł Grzybowicz, to miłość szalona..

Pochmurniał Burgrabia.

— E! e! machnął ręką — już dziś innej rady nie ma tylko jedna — mówiłem pani, lecz nie słucha... Ramionami rusza.

Umilkł znowu. Mecenas wzrokiem go do spowiedzi wyzywał.

— Jakaż rada? spytał w końcu.

Burgrabia milczał długo.

Po co ja się mam z nią wyrywać—rzekł—ja jestem człowiek starego autoramentu — i o sprawach ludzkich inne mam niż waszmość panowie wyobrażenia. Gdybym powiedział co myślę, śmiechu bym narobił z siebie—oczy byście mi zapluli... Dziś sentymenta... sentymenta... a w młodości, panie, sentymenta!.. takie mają i bydlęta... Tfu!

Mecenas się skrzywił.

— Nie rozumiem — rzekł.

— Bo to nie sentyment, zawołał stary—to nie żaden sentyment, ale po prostu krewkość młodzieńca i kwita. Mówiłem jejmości wcześnie, chłopiec młody, krew nie woda, żeń go asińdźka, bo głupstwa się zaczną... Nie! chciała się nim nacieszyć, bała się synowej i ot czego się doczekała... kłopotu i wstydu.

Odwrócił się do Grzybowicza i rozkładając ręce szerokie, a głowę ku ziemi spuściwszy, rzekł w sposobie poufnego zwierzenia się po cichu.

— Innej rady nie ma tylko mościdzieju — Klin Klinem!

Mecenas nie zrozumiał.

— A no! tak! dodał Prozorowicz... niech się znajdzie panna piękna, a niewygodny romans z Fantecką mu dokuczy... to się w pocieszycielce zakocha, a jejmość porzuci... Tylko tam pilnować trzeba, aby mu przeszkadzano i bardzo go nie dopuszczano do poufałości.

Grzybowicz się z żymnął.

— Zmiłuj się panie Burgrabio— lekarstwo gorsze od choroby.

— To go sobie sami kurujcie—wyrwał się stary—jam już na to głupi. Marszałkowa żenić się nie pozwoli z rozwódką, to pewna... chłopiec się zmarnuje... a to ostatnia rodziny gałązka... chociaż panie... nie ma innego sposobu, tylko Klin Klinem — tylko Klin Klinem.

— Nie mógłbym się widzieć z panią Marszałkową? spytał nie odpowiadając na tę oryginalną argumentacyą Mecenas.

Prozorowicz nieco urażony, wyprostował się.

— Każe pan, zapytać?

— Proszę pana...

Zostawiwszy gościa sam na sam z kanarkami. Burgrabia wyszedł jawnie urażony, że jego rada została milczeniem wzgardliwem pominiętą.

W chwilę potem wszedł od progu wołając.

— Marszałkowa prosi.

Skłoniwszy mu się Grzybowicz przeszedł sień i znalazł się w pokoju na przeciwko, ciemnym pustym, smutnym, w którym nie było nikogo. Chciał się czas rozpatrzeć w nim.

Na ścianach wisiały stare sztychy angielskie, przedstawiające heroiczne sceny z historyi rzymskiej, mocno zwilgocone i zczerniałe. Na kantorku zegar z kolumnami alabastrowemi nie idący, trupią miał fizyognomję. Meble spłowiałe, piec popękany trochę— wszystko razem oblane było jakimś wyrazem martwoty przykrej. Znać że tu nikt żywy nie mieszkał.

Od gabinetu drzwi stały na pół otwarte, nagle uchyliły się i wyszła powoli w czarnej sukni, blada, żółta, poważna wielce i surowa pani Marszałkowa, widocznie nie dała poznać po sobie iż dźwigała ciężkie brzemię.

— Jak się ma pan Mecenas — odezwała się głosem mało zmienionym, i wskazała mu krzesło, sama siadając na kanapie, a głowę oparłszy zwolna na ręku.

— Dziękuję pani.

— Jeźli się nie mylę, Prozorowicz mi mówił, że z jakimś interesem.

— Tak jest, pani—przychodzę od pana Bernarda.

Marszałkowa zamilkła.

— Jakież to nieszczęście—odezwała się, gdy syn do matki zamiast przyjść sam, obcego pośrednictwa używać musi. Czego chce Bernard?

— Przebłagać panią...

— To trudno, jeźli nie spełni mojej woli—odezwała się matka. Łudzi się Bernard myśląc, że ja przez miłość macierzyńką pozwolę ażeby sobie struł i zawiązał życie. W małżeństwie z kobietą, która raz o obowiązkach swoich zapomniała, nie widzę dla niego przyszłości, na to małżeństwo nie dozwolę nigdy... Jestem gotowa chwilowe obłąkanie przebaczyć, ale zgodzić się aby tę chwilę opłacał życiem —nie mogę.

Grzybowicz nie wiedział co odpowiedzieć.

— Pani Marszałkowo, rzekł w końcu — miłość... młodość...

— Gdyby się Bernaś zakochał w najuboższej poczciwej dziewczynie... nie wahałabym się na chwilę pobłogosławić mu... ale w kobiecie...

Tu wyrazów jej nie stało, chustkę przyłożyła do oczów.

Grzybowicz zmilczał.

— Pan jesteś zacny i stateczny człowiek—dokończyła po chwili—spełniasz obowiązek wstawiając się za synem moim — spełń daleko wyższy, staraj się go uratować...

Wyciągnęła ku niemu rękę, którą Grzybowicz ucałował wzruszony. Wstała i poszli razem ku oknu, szepcząc po cichu. Rozmowa ciągnęła się długo — a gdy po godzinie prawie, prawnik znowu żegnając się, rękę Marszałkowej całował, zdawali się w porozumieniu najlepszem.

Pani Znińska odprowadziła go do progu, Grzybowicz wyszedł ocierając pot z czoła, zadumany i z oczyma w dół spuszczonemi. Byłby w prost wsiadł do swojej dorożki, gdyby czatujący nań Burgrabia, nie odciągnął go w drugą stronę.

— Na chwileczkę — rzekł otwierając drzwi swoje.

Na stoliku pokrytym serwetką kolorową, stała flaszeczka korkiem na sznurku przymocowanym zatknięta, obok niej chleb masło i ser szwajcarski.

Prozorowicz zapraszał na przekąskę, nie godziło mu się odmówić.

— Cóż Marszałkowa? zapytał.

— To mówi czegom się spodziewał — rzekł adwokat — słyszeć o małżeństwie nie chce...

— Tak—więc co? zapytał Prozorowicz — nie małżeństwo ale wszeteczeństwo... Z pieca na łeb. A ja powiadam, jeden tylko sposób na to...

Tu się w piersi uderzył.

— Klin Klinem...

Mimowoli uśmiechnął się Grzybowicz.

— W ręce pańskie.

I wypili po kieliszku starki, a po niej wziąwszy się do sera i masła, po cichu gwarzyć między sobą poufale zaczęli.

Kilka dni upłynęło bez widocznej w położeniu zmiany. Strony wojujące zdawały się mierzyć swe siły i zbierać środki z któremi przeciwko sobie wystą-

pić miały. Grzybowicz był niesłychanie czynny. Fantecki nigdzie się nie pokazywał z domu i zabierał się do wyjazdu, Marszałkowa siedziała zamknięta...

Mówiono że pani Rumińska nie radząc się nikogo, zabrała jednego dnia przyjaciołkę swą, i pojechała z nią do naczelnej władzy duchownej, że z tamtąd wychodząc obie panie tak były pomieszane i widocznie przerażone, że zaledwie do powozu trafić mogły... Rumińska płakała, Seweryna oczy miała zaiskrzone i gniewne.

Tegoż wieczora pan Bernard który codziennie na herbatę do pani Balbiny uczęszczał, został bardzo jakoś źle przyjęty... Obie panie były milczące i gniewne.

Seweryna dwa czy trzy razy wychodziła z salonu, a Rumińska na bok wziąwszy młodzieńca, bardzo grzecznie ale stanowczo prosiła go, ażeby nie zbyt często do domu jej przychodził.

— Pan się tylko postaw w mojej pozycyi, rzekła— co to ludzie powiedzą, gdy ja państwu wieczorne schadzki w moim domu będę ułatwiać, nim się rozwodu doprosimy... Jak mnie wezmą złe języki na fundusz, noga u mnie nie postanie.

— Ale miejże pani litość nade mną! ręce składając zawołał Bernard — w mojem położeniu to jedyna pociecha gdy ją ujrzeć, gdy z nią słówko zamienić mogę. Jakże ja wyżyję...

— Wszystko to prawda, rzekła Rumińska, ale i nademną litość państwo miejcie... Zresztą Seweryna sama uzna...

Tu z drugiego pokoju poczęła wołać przyjaciołki.

— Sewerynko, moja droga—rozsądź naszą sprawę.

Nadchmurzona, smutna wyszła z drugiego pokoju piękna pani. Nie była to już dziś ta namiętna, rozkochana Seweryna, której uścisk jedyny, pierwszy i ostatni, czuł jeszcze biedny Bernard — ale kobieta, znękana, znudzona, wystraszona, prawie obojętnie parząca na swą nieszczęśliwą ofiarę — Bernard stał jak winowajca.

Rumińska ustąpiła zostawiając ich we dwoje... Bernard chciwie rękę po dłoń jej wyciągnął. Podano mu ją z wahaniem się jakiemś...

— Na Boga—aniele mój! zawołał — tyleśmy przecierpieli! mamyż tak pozostać w tem położeniu dziwnem, zbliżeni a rozdzieleni. Pani Rumińska z domu mnie wypędza... ty—nie mówisz nic. Rzućmy wszystko — zapomnijmy o ludziach, o świecie, jedźmy ztąd, skryjmy się gdzie chcesz... bądźmy szczęśliwi.

(d. c. n).

LIST PIĄTY

DALEJ NA ZACHÓD.

Council Bluffs w Stanie Jowa

w Ameryce północnéj

PRZEZ

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Pomimo istnienia szkółki innej skoro posyłają do niej swe dzieci jak rolnicy w Steven's point, życie miejskie i żądza by dzieci zarabiały dolary, psuje tych ludzi. Już większość ich przesiąkła ową miłością ku pieniądzom cechującą większość tubylców. Źle żyją i mieszkają a zbijają grosiwo, cała rozmowa toczy się jak by najwięcej zarabiać; dolar celem ich życia a nie środkiem do życia

Nie pojętą dla mnie żądzą, ta łapczywość za bankotami i złotem! Lubię pieniądze i pogardzam człowiekiem gołym w skutek lenistwa; lecz nad zarabianie przenoszę używanie pieniędzy, a nad sknerę marnotrawcę. Podzielając zdanie iż ilość potrzeb i praca by uzyskać środki na zaspokojenie ich, odróżniają ludy ucywilizowane od dzikich, zgadzam się na wylewanie potu by zaspokoić potrzeby. Lecz nie mieć potrzeb a mozolić się, pracować jak wół byleby tylko zgarniać pieniądze do szkatuły, uważam za dowód większej głupoty i dzikości jak bieganie nago po borach australskich.

Szlązacy w Winonie mają tylko jedną potrzebę kosztowną: whisky (wódkę). Sześć szynków zaledwie wystarcza by ugasić ostre pragnienie kilkuset mężczyzn. Żaden z szynkarzy nie narzeka na złe interesa; wszyscy narzekają iż nie mogą utrzymać naszych ludzi w porządku.

Pożycie pomiędzy Irladczykami i Niemcami po miastach, rozbestwia lud zresztą spokojny. W Chicago i Winonie piją, i swarzą się bezustannie, podczas gdy w Stevenspoint lub Silverlake nie mają ani szynkowni żadnej, ani jednego pijaka lub zawadyaka. Prawda iż tam bardziej z Amerykanami i Francuskiemi kanadyjczykami obcują, a kto z niemi się kłóci kula go nie minie.

Wspomniałem o Silverlake (srebrne jezioro). Jestto osada pomorska z kilkuset rodzin, leżąca na północ od Saint Paul, stolicy Minesoty, wpośród nader gęstych i trudnych do przebycia borów i jezior tworzących z tego stanu Szwajcaryę amerykańską. Należy ona do parafji starego plebana. Staruszek dojeżdża do Silverlake i tem podobnych miejsc i pomimo zgrzybiałego wieku, jeździ po Stanie tak wielkim jak całe Węgry, by obsłużyć z kolei wszystkie swoje owieczki.

Od niego słyszałem dokładnie o kolonji Silverlake. Ludzie składający ją przybyli do Ameryki jednocześnie i nie mając pieniędzy na zakupienie i karczowanie roli, osiedli na farmach należących do Amerykanów, oddając właścicielom $1/3$ plonu rocznego żyją tam w obfitej mierności a niektórym o tyle się powiodło iż już wykupili na własność łany dzierżawione dawniej. Rzecz to tem łatwiejsza iż Amerykanie wyprzedają swe własności chętnie i tanio, chcąc wedle zwyczaju wynieść się czem prędzej dalej na Zachód, w mniej gęsto zaludnione okolice, by tam znów wziąść ziemię darmo, wykarczować i czekać cierpliwie aż podniesie się w cenie.

Jeżeli kiedy istniało patryarchalnie rządzone społeczeństwo, to musiało zupełnie tak się rządzić jak gromada w Silwerlake. Stary proboszcz jest ich wyrocznią prawodawczą, o polityce nie rozprawiają nie umiejąc słowa po angielsku a więc nie rozumiejąc tutejszych stosunków, pracują ciężko by zabić nudy życia wśród borów, uczciwi nadzwyczaj gdyż nie mają pokusy do nieuczciwości. Nie ma wśród nich bogaczów popisujących się zbytkiem i rozpustą i wzniecających zazdrość w sercu mniej zamożnych ludzi, nie ma nędzarzów tak zgłodniałych by się rzucali do kradzieży lub oszustwa.

Ztąd też ilekroć który gospodarz zabije wołu lub wieprza, może go zawiesić na gałęzi w lesie, by mróz ściął mięso i utrzymał je w świeżym stanie. W ten sposób wisi mięsiwo przez pół zimy, a nikt obcy nań się nie targnie. O kłódkach do drzwi, chat i śpichrzów nikt tam nie słyszał, jak ogólnie w całej zachodniej Ameryce i w rolniczych częściach Kanady. Sznurek przywiązujący drzwi chaty do kołka, wystarcza tu by strzedz nietykalność domu.

Z Winony zatelegrafowałem do towarzysza mego w La Crosse, iż nie mogę towarzyszyć mu do Nebraski gdy dowiedziałem się od właściciela hotelu w którym stanąłem, że o jakie 200 mil angielskich na zachodnich stepach, mógłbym z łatwością znaleść doskonałą rolę na *homestead*. Kolej żelazna idąca z Winony do rzeki Minesoty, przecinającej cały Stan tego nazwiska od zachodu na wschód, opuszcza rzekę koło mieściny Nowy Ulm i dąży stepami do Dakoty. Każdy cal tych stepów bardzo ma być żyzny: czy śnieg je okrywał czy nie, nie czyniło żadnej różnicy, gdyż wyboru tam nie ma, gdzie wszystko jednakie.

Pociąg do Nowego Ulmu opuszcza Winonę, raz na dzień tylko około południa. Wyjechawszy z doliny Missisipi na szczyt wyżyny wznoszącej się o parę set stóp nad poziom doliny nadrzecznej, dąży wprost na Zachód.

Z wyżyny tej, stepu z czarnoziemem spoczywającym na szarym piaskowcu zupełnie prawie ogołoconym z drzewa, można doskonale widzieć cały bieg rzeki od La Crosse aż do Winony, gdyż bory nad Missisipi przecinają jakby czarną wstęgą cały środek krajobrazu. Oprócz tej czerni nic nie ujrzysz, jak łany dość równe okryte białą szatą śniegu. Te łany to owe *prairies* zachodnich Stanów Ameryki, owo ongi gniazdo Indyan i bawołów, rodzące dziś dość pszenicy dla połowy Europy.

Mimowolnie muszę powtórzyć me porównanie tych obszarów z powierzchnią morza rozkołysanego nie burzą lecz owym ruchem następującym po burzy, gdy bałwany piętrzą się w pagórki niskie, niezmarszczone zniżając się w koryta szerokie a nie głębokie. Plamy śniegu i szron na długiej trawie chwianej wiatrem, przypominają plamy piany, srebrzącej zieloną toń morza.

Widzicie kochany Redaktorze iż dotrzymuję słowa. Przyrzekłem żegnając was na błogiej helweckiej ziemi iż gdzie huczy Niagara i gdzie lokomotywa świszcze po szerokim stepie, zatrzymam się na chwilę dla wytchnienia i opiszę wam co widziałem w drodze. Od Niagary dzielą mnie już mil setki, po stepie pędziłem wczoraj, dziś piszę do was i dziękuję niebu iż mi pozwoliło oglądać wszystkie te cuda.

Przejażdżka moja z Winony do Nowego Ulmu tak ważna w swych skutkach, iż opiszę ją szczegółowo.

Pierwszy raz od czasu przybycia do Ameryki, zapoznałem się ze zwyczajem zachodnim odbierania broni od podróżnych. Konduktor pociągu kazał mi złożyć strzelbę kupioną w Chicago do wozu wiozącego pakunki mówiąc iż na Zachodzie tak częste wydarzają się kłótnie i ludzie tak do chwytania za broń pochopni, że towarzystwa kolejowe zabraniają wożenia strzelb i rewolwerów w wagonach. Za opiekę nad mą strzelbą musiałem zapłacić ćwierć dolara, podczas gdy kufer mój ważący centnar wieźli darmo, gdyż tu nie liczą od pakunku pasażerów.

Załatwiwszy ten interes począłem wyglądać przez okno na prairies, zasiane domkami z jodłowych tarcic, szeregami topoli i przegrodami rozdzielającemi łany rolników. Tu i owdzie ujrzałem piękne malowane dwory o dwóch piętrach a o sto kroków od nich niskie, słomą kryte chaty. Właściciele dworów dziś zamożni rolnicy, mieszkali przez lat wiele w tych nędznych chatach. Te dowodziły czem byli jak ongi żyli właściciele stepów tamte jak dziś żyją. Chaty i dwory najlepszym są dowodem wzbogacenia się rodzin osiadających na zachodzie. Zwolna, lecz niechybnie przekształca się dzika puszcza w śpichlerz świata, chaty jej panów w stajnie dla bydła, rolnicy sami w zamożnych chlebodawców licznej czeladzi.

W wagonie gwar wielki pomiędzy towarzyszącymi mi farmerami. Wszyscy ci ludzi wracają z wyborów rannych w Winonie. Zajęty rozmową nie zważałem bawiąc w mieście, że niezwykły ruch tam panował i że nie sprzedawano wódki i piwa w szynkowniach. Dopiero teraz dowiedziałem się jakoby dziś wybrano

prezydenta stanu, posłów sejmowych i urzędników. Pomimo iż osoby siedzące w powozie dzieliły się na dwa obozy i sprzeczały dość żwawo o dobroci przeciwnych kandydatów, nie słyszałem słów cierpkich. Wszyscy farmerzy byli zupełnie trzeźwi, bo wedle prawa nie mogli pić podczas elekcyi. Mądry to bardzo zwyczaj Amerykanów, owe zamykanie szynków w dnie tak ważne. W Anglji i Australji są one przyczyną rozpusty i nieładu niedoopisania, i więcej się przyczyniają do drażnienia partyi jak wszystkie inne usterki prawodawcze.

Na wszystkich stacyach spotkanych po drodze panował ruch wielki, bo cała okolica oczekiwała z niecierpliwością wieści telegraficznych o powodzeniu kandydatów. Gdy towarzysze moi oznajmili, iż jakiś tam jegomość należący du powiatu Winony otrzymał jedną z wyższych posad, dziękowano im za wiadomość trzykrotnem hurrach! Zarówno w Ameryce jak w Australji dostrzegam pewną powiatowszczyznę a raczej parafjańszczyznę przy elekcyach. Każda gmina pragnie by choć jeden z jéj członków złapał synekurę lub intratną posadę rządową.

Wspomniałem o stacyach kolejowych. Są to duże gmachy drewniane często stojące wśród stepu i opodal od pomieszkań ludzkich. Rodzaj mostu ukośnego prowadzi od ziemi do poddasza, po tem moście wyjeżdżają wozy z pszenicą farmerów i wsypują ją przez otwór w dachu do wnętrzna śpichrza, umieszczonego w domu. Przez drewnianą rurę zbiega później ta przenica do wagonów, tu bowiem nie w worach wożą zboże lecz w prost w wagonach niby piasek. Kupiec tutejszy odnajmuje wagon taki za kilkanaście dolarów i zapełniwszy go 200-stu centnarami pszenicy każe ją odwieść do rzeki i znów wprost do parowca wysypać. Gdzie buszel (60 funtów) przenicy tylko 75 centów (3½ franki) kosztuje, tam nie marnują czasu na wywożenie jej staranne. Zresztą taka jej obfitość na zachodzie a tak mało dają za nią kupcy angielscy i tak trudno o gotówkę, iż mało tu dbają o kilka korcy wysypanych na ziemię. Kukurydzą zaś palą w piecach corocznie, jak to później opiszę.

Mijając jedną z takich stacyi mieliśmy zabawną gonitwę dwóch pociągów. Przez kilka mil drogi biegła obok naszej kolei inna, konkurująca z naszą idąca do stolicy Saint Paul: pociąg pocztowy naszego i tamtego towarzystwa przybyły do stacyi o tejże samej porze i razem ją opuściły. Oczywiście iż maszyniści pragnęli popisać się dobrocią swych lokomotyw i nie dbając czy dowiozą podróżnych zdrowo i cało, rozżarzyli ognie i pędzili co sił starczyło. Przez kwandrans prawie wahało się zwycięstwo, wreszcie udało się nam zostawić przeciwników w tyle. By dokazać tej sztuki cisnął nasz maszynista flaszkę nafty w ogień, niedziw więc że więcej pary stworzył jak tamten. Takie to rzeczy dzieją się w kraju w którym najwątlejsze kotły i najnierówniejsze szyny w świecie w którym i bez gonitw pękają pistony a koła często zeskakują z chrapowatej drogi. Lecz my niemniej szaleni od maszynisty, nie myślemy wcale o grożącem niebezpieczeństwie, tylko klaszczemy w dłonie widząc iż nasz pociąg górą.

Około zachodu słońca dojeżdżamy do spadu wyżyny stepowej ku rzecze Minesocie. Wzgórza zbiegają prawie pionowo ku potokom przecinającym kraj, stoki ich i doliny nad wodami okrywa las dość gęsty.

Wszystkie prairies zachodnie jednako wyglądają pod tym względem. Równy step, spadziste stoki ku rzekom płynącym w głębokich parowach, pasma borów biegnących wzdłuż wód, oto obraz stepu.

W Minesocie i Jawie, stanach zaludnionych dość gęsto, często już ujrzym i gaje na stepie. Gaje te są jednak owocem pracy ludzkiej, gdyż wielu rolników rozsiewa tu nasienie brzóz, dębów i klonów, po części by mieć dostatek drzewa na własne potrzeby, po części iż kompanije kolejowe dają nagrody pieniężne a rząd kawały roli za najlepsze sztuczne gaje. Za lat kilkadziesiąt nie będzie tu zbywało na drzewie, zwłaszcza gdy gęsta ludność przeszkodzi szerzeniu się pożarów stepowych, grasujących corocznie od podnóża gór Skalistych (Rocky Mountains) aż do brzegów Missouri i Missisipi. Li wskutek tych pożarów niezarastała ta część Ameryki dziewiczemi borami.

Mówiłem o gęstości ludności. Gęstość ta stosunkowa tylko nie wpada w oczy Europejczykom. Tu, gdzie każda rodzina zajmuje najmniej 160 morgów, dom od domu o ćwierć mili oddalony, najgęstsze zaludnienie nie może być gęstem w naszem znaczeniu tego słowa. Sioł tu nie ma zupełnie, gdyż tubylce nie cisnęliby się po wsiach pod żadnym warunkiem. Miasteczka spotykane co mil kilka, złożone z hotelów, sklepów, kuźni, fabryki wozów, domowych sprzętów, maszyn rolniczych, uprzęży, browarów, młynów i t. d. także zajmują daleko więcej miejsca jak nasze grody z poczwórną ludnością.

Nowy Ulm, mający jakie 2000 ludności, rozlega się na obszarze któryby wystarczył na spore galicyjskie mieścisko. Prawda to że więcej w nim fabryk, przemysłu i handlu jak w 15-tu tysiącznym Stanisławowie.

Że jednak nie zbywa na ludności w okolicach Nowego Ulmu dowodzi okoliczność iż za rolę ogrodzoną, już oraną i mającą budynki, której właściciel spełnił obowiązek mieszkania na niej przez trzy lata i może ją sprzedawać dowolnie, dają tu wyższą cenę jak w Wisconsin leżącym bliżej Chicago. Lecz Wisconsin nie posiada czarnoziemu jak step Minesoty, ani tysiące jeziorek rozsianych po kraju go nie skrapia.

Inny dowód gęstości ludności czerpię z obszernych cmentarzów, leżących tu i owdzie blisko kolei. Popęd tkwiący w sercu ludzkim by się tulić w gromady, tamowany przez całe życie skutkiem zwyczajów tutejszych, zdradza się w grzebaniu umarłych. Na jednem obszernym łanie, wysadzonym cienistemi drzewami i chronionym od nóg bydła i dziczyzny za pomocą płotów schludnych i trwałych, spoczywają wygasłe pokolenia pionierów. Tysiące kamieni zastępujących tu krzyże, bieli się w śród zieleni burzanów, w bardzo długich szeregach. Któżby uwierzył iż na dziewiczej tej ziemi, tyle już ofiar zmiotła śmierć nieubłagana.

(d. c. n.)

Z DZIEDZINY NAUKOWEJ.

ŚWIATŁO I ŻYCIE.

PRZEZ

J. B.

II.

Światło wywiera jeszcze na rośliny działanie mechaniczne. Sen kwiatów, naginanie się łodyg, kołysanie się roślin heliotropicznych *) i między - celkowe wędrówki chlorofilu, (ciałek zieleni), dostarczają dostatecznych dowodów nadzwyczaj delikatnej pod tym względem czułości niektórych gatunków.

Już Pliniusz mówi o słoneczniku że zawsze patrzy na słońce i ciągle za nim się obraca. Zauważył także, iż słonecznik strączysty codziennie dąży za słońcem i pokazuje rolnikom która godzina. Przy końcu XVIII wieku, Tessier zaczął ściśle badać te fenomena, i przekonał się, iż w ogóle łodygi roślin zawsze zwracają się ku światłu, a nawet pochylają się jeźli w tedy lepiej na nie pada. Zauważył także, iż i liście wyraźnie okazują dążność odwracania się w stronę z której dochodzi światło. Chcąc uzupełnić doświadczenia, Payer robił dalsze próby na gałązkach nasturcyi; które umieszczone w pokoju oświeconym z jednej tylko strony lub w pudełku na którego jedną tylko ścianę pada światło, nader szybko pochylają się w stronę światła. Najpierw pochyla się tylko wyższa część gałązki, niższa pozostaje prosta; drugiem poruszeniem nachyla się część niższa a wyższa prostuje. Jeźli umieścić tę roślinę w pokoju o dwóch oknach, wtedy jeźli oba są z jednej strony i równa ilość światła niemi wchodzi, pochyla się ona w kierunku środka kąta utworzonego przez dwie wiązki światła. Jeźli z jednego okna więcej bije światła, roślina w jego stronę się skłania. W razie gdy okna umieszczone są naprzeciw siebie, a światło w obu jednakowe, roślina trzyma się prosto, jeźli w jednem światło jest silniejsze, przechyla się ku niemu. Przekonał się jeszcze, że najsilniej tu działa światło fioletowe i niebieskie, zaś czerwone, pomarańczowe, żółte i zielone, zdają się nie wywoływać żadnego ruchu w roślinach.

Wielu jeszcze uczonych, między innymi Garduer, Dutrochet i Guillemin, sprawdziło te doświadczenia; rezultata bywają zawsze też same, ale zjawisko samo w sobie dotąd prawie niewytłomaczone pozostaje.

Mniej jeszcze zbadanym jest sen kwiatów, także bez zaprzeczenia zostający w związku ze światłem. Kwiaty i liście niektórych roślin, więdną i zwijają się w pewnych oznaczonych godzinach. Korona się zamyka, a po słodkim śnie znowu roztwiera. U niektórych kwiatów, korona nie zamykając się opada i umiera. Gdy pierwsze promienie słońca zabłysną nad ziemią, rośliny i kwiaty budzą się ze snu nocnego i prędko podnoszą pochylone główki, najróżnorodniejszemi błyszcząc barwami. Lecz nie wszystkie o jednej budzą się godzinie; jedne wstają ranie, drugie później, lecz punktualnie jednych trzymają się godzin, co dozwoliło Lineuszowi urządzić sobie zegar kwiatowy. Dotąd jednak stanowczo nie orzeczono naukowo, jaki jest stosunek tego snu i zamykania się kwiatów, odnośnie do siły światła.

Zielone zabarwienie liści i łodyg roślinnych, pochodzi od kuleczek szmaragdowo - zielonej barwy, przyczepionych do wewnętrznej ściany komórki; nazywają się one ciałkami zieleni albo *chlorofilu*. W każdej komórce znajduje się większa lub mniejsza liczba tych kuleczek, jaśniejszych lub ciemniejszych, i one to mocniejszą lub bledszą barwę nadają tkankom rośliny. Niekiedy są tak ściśnięte jedne na drugie, iż zapełniają całą wewnętrzną stronę komórki, gdy ich jest mniej nie dotykają siebie. Odkryto świeżo iż w tym ostatnim razie, ciałka zielone bardzo widocznie zmieniają położenie pod wpływem światła. Lat temu dwanaście, Boehm zauważył pierwszy że w pewnych roślinach kulki chlorofilu nagromadzają się w pewnym punkcie ściany komórek, jeźli roślina wystawiona jest na działanie słońca, co nie ma miejsca w ciemności lub pod promieniami czerwonemi.

P. Famintzin uważał że najstosowniejsze do tak delikatnych doświadczeń są listki mchów, jako bez epidermy i utworzone z jednego pokładu komórek; zaczął więc badać je mikroskopem i tym sposobem widział odbywające się w nich ruchy. Podczas dnia kulki zieleni rozproszone są po wyższej i niższej części komórek liściowych, w nocy przeciwnie zbierają się ku ściankom bocznym. Promienie niebieskie działają na nie jak światło białe, żółte i czerwone utrzy-

*) Dążenie roślin do światła nazwano *heliotropizmem dodatnim*, odwracanie się ich od światła *heliotropizmem ujemnym*.

mując chlorofil w położeniu do jakiego ułożył się w nocy.

Biot opowiada, że bawiąc w Formentera w r. 1807 chwile wolne od pracy nad przedłużeniem linji południkowej poświęcał badaniom nad rozbiorem gazów zawartych w pęcherzach ryb żyjących w różnych głębokościach morza. Potrzebnego do tych rozbiorów kwasorodu, dostarczały mu liście *cactus opuntia* które wystawiał w wodzie na światło słoneczne, pod dzwonami szklannemi, pożytkując w ten sposób odkrycia Jugenhouse'a i Senebier'a. Pewnego razu przyszła mu myśl wystawić takie liście w miejscu zupełnie ciemnem, oświetlonem lampami umieszczonemi w ognisku trzech wielkich zwierciadeł odbijających światło, które służyły do znaków nocnych przy robotach trygonometrycznych. Połączone to światło skierował na liście kaktusowe; mimo to po upływie godziny nie wydobył się ani jeden pęcherzyk gazu.

W tedy dzwon szklanny z liśćmi wyniósł z chaty na światło i pomimo że słońce nie przyświecało, rozpoczęło się zaraz nader szybkie wydobywanie gazu. Biot zawnioskował ztąd, że światło sztuczne nie zdolne jest działać tu jak światło słoneczne, lecz tegoczesne prace znakomitych botaników dowiodły: że wszelkie światło działa na oddychanie roślin, tylko z warunkiem żeby nie było nader silne. W doświadczeniach więc Biot'a, światło sztuczne dla tego jedynie nie działało, że było za mocne.

III.

„Bez światła przyroda byłaby pozbawioną życia, byłaby martwą i obumarłą; zsyłając nam światło, Bóg roztoczył na ziemi życie, ruch, myśl i uczucia" tak powiedział Lavoisier, i miał słuszność. Nie ulega zaprzeczeniu, że wszelka działalność organiczna początkowo zapożyczoną była od słońca, a chociaż następnie ziemia nagromadziła i przywłaszczyła sobie pewną działalność, dostateczną do wytworzenia niekiedy z samej siebie tego co początkowo powstało z podbudzenia słonecznego, nie zapominajmy przecież że te siły żywe, z pozoru ruchome i złożone, które niekiedy stają się najstraszniejszymi naszymi wrogami a częściej jeszcze pokornymi sługami, pochodziły i pochodzą zawsze od słońca. Badanie życia zwierzęcego przedstawia nam wymowne przykłady fizyologicznej skuteczności światła.

Widzieliśmy że rośliny zupełnie inaczej oddychają w dzień jak w nocy; teraz zobaczymy iż istnieją i wymoczki, tak samo zachowujące się pod wpływem światła, jak zielone części rośliny. Mikroskopowe te zwierzątka rozwijają się w wodach stojących podczas pogody, i oddychają w nich wytwarzając kwasoród, kosztem zawartego w wodzie kwasu węglanego. Pan Morren zauważył, że niedokwaszanie wody, spowodowane przez te małe istotki, zmienia się widocznie w przeciągu dwudziestu-czterech godzin; minimum jego jest o wschodzie słońca, maximum około czwartej wieczorem. Gdy jest pochmurno lub gdy zwierzątka się schowają, zjawisko czasowo ustaje. Lecz jest to tylko wyjątek, zwierzęta jednakowo oddychają we dnie i w nocy, tylko nie tak mocno. W dzień i w nocy palą węgiel we wnętrzu swych tkanek i wytwarzają kwas węglany, tylko fenomen ten daleko pośpieszniej objawia się przy świetle niż w ciemności.

Światło przyśpiesza u zwierząt ruch żywotny a szczególniej czynność odżywiania, ciemność zaś je zmniejsza. Są to fakta od dawna znane i stosowane w gospodarstwie rolnem. Columelle zaleca aby chcąc utuczyć drób, chować go w ciasnych, nieoświetlonych klatkach. Aby utuczyć bydło, rolnik zamyka je w oborach z małemi i nizkiemi oknami. W tych słabo oświetlonych więzieniach, pochłanianie materyałów żywiących odbywa się wolniej i zamiast spalenia, tłuszcz gromadzą się one w organach. Wiadomo także iż kto chce wytworzyć u gęsi wielką i silną wątrobę, pasie ją nadmiernie kukurydzą, trzyma w ciemnych piwnicach i nie dopuszcza ruchu.

Zwierzęta pozbawione światła nędznieją równie jak rośliny. Już to przekształcają się już znów następuje niekorzystna zmiana w ich organizacyi, pomimo całej pełni władz żywotnych. Zwierzęta żyjące w pieczarach, podobne są roślinom rosnącym w piwnicach. W niektórych podziemnych jeziorach niższej Karyntyi, znajdują się dziwaczne gady, podobne salamandrom, nazwane *Proteus* (Odmieniec). Są prawie zupełnie białe i niewidome; gdy je wystawić na światło zdaje się sprawia im to cierpienie a skóra ich się zabarwia. Być może że istoty te nie zawsze żyły w otaczającej je dziś ciemności, i że tylko długie pozbawienie światła, spowodowało zmianę barwy skóry i zniszczyło organ wzroku. Istoty pozbawione światła, narażone są na różne słabości, bladość i zubożenie krwi.

William Edwards, któremu nauka zawdzięcza tyle obserwacyi nad działalnością czynników fizycznych, jeszcze w r. 1820 badał ściśle jaki wpływ wywiera światło na rozwój zwierząt. W dwa naczynia napełnione wodą włożył jaja żabie; jedno było przezroczyste drugie nie przepuszczało światła, gdyż je całe owinął czarnym papierem. Jaja wystawione na światło, podlegały regularnemu rozwojowi; w drugiem naczyniu były tylko ślady zarodków; następnie te nowo wylęgłe żaby pokładł w duże naczynia. Te do których dochodziło światło wyrosły prędko na młode żabki, pozostawione w ciemności albo nie rosły wcale, albo tylko z wielką trudnością zamieniały się w skończone żaby.

W trzydzieści lat później p. Moleschott dochodził setkami doświadczeń, w jaki sposób światło wpływa na zmniejszenie ilości kwasu węglanego, wydychanego przez oddychanie. Operując na żabach, znalazł że objętość gazu wydychanego pod wpływem światła dziennego, jest o $^1/_4$ większą niż w ciemności i stwierdził że w ogóle produkcya kwasu węglanego zwiększa się odnośnie do siły światła. Tenże fizyolog mniema iż żabom działalność światła przekazuje się częścią przez skórę, częścią przez oczy.

P. Juliusz Béclard rozdzielał na kilka części jedną gromadkę jaj zwyczajnych much, kładł je pod dzwony różnych barw i przekonał się, że we wszystkich wyradzały się gąsiennice, jednak gdy je porównywał po upływie czterech lub pięciu dni, znaczna zachodziła różnica. Najlepiej rozwijały się pod promieniami fioletowemi i niebieskiemi, daleko mniej pod zielonemi. Promienie czerwone, żółte i białe, średnie tylko wywierają działanie.

Długi szereg doświadczeń dokonywanych na ptakach, wykazał temuż uczonemu: że objętość kwasu węglanego wytworzonego w pewnym danym czasie, nie zmienia się znacznie od barwy dzwonów pod jakimi umieszczano ptaki. Toż samo ma miejsce i co do małych zwierząt ssących, jak np. myszy; ale należy zwrócić uwagę że tu skóra jest okryta pierzem albo siercią, zatem światło nie pada wprost na jej powierzchnię.

Światło działa także równie bezpośrednio na tęczówkę wszystkich niemal zwierząt i powoduje ściągnienie źrenicy, kiedy ciepło sprowadza objaw prost przeciwny.

P. Bert robił świeżo ciekawe bardzo doświadczenia o upodobaniu zwierząt do różnych zabarwionych promieni. Brał maluteczkie, prawie mikroskopowe tęgopokrywe istotki bardzo pospolite w wodach słodkich znane z pośpiechu z jakim zdążają ku światłu, i pewną ich liczbę umieścił w naczyniu szklannem, bardzo mocno zakopconem, następnie wprowadził tam widmo świetlne. Owady błąkały się rozproszone po zaciemnionem naczyniu, lecz gdy tylko pokazały się barwy widma, zaczęły się kręcić i grupować w kierunku smugi świetlnej: gdy światło zastawił ekramem znowu się rozproszyły. Wszystkie kolory widma przyciągały owady, zauważył jednak w krótce że daleko prędzej przybiegały do żółtego i zielonego, a nawet jeżli w miejsce tych promieni podsunięto bezpośrednio promienie fioletowe, oddalały się niezwłocznie. Tak więc w żółtej zielonej i pomarańczowej stronie widma, miał miejsce ciągły ruch i przyciąganie.

Wpromieniu czerwonym znajdowała się jeszcze dość znaczna ilość maluczkich tych istotek, w niebieskim było ich już mniej daleko, a w miarę większego oddalenia się w więcej łamliwe strony fioletowe i poza fioletowe, już tylko tu i owdzie się uwijały. Tak więc małe te istotki uważały na najświetlniejsze i najmilsze te same promienie co i ludzie i postępowały, tak zupełnie jak człowiek chcący np. czytać przy świetle jakiego widma; zbliżały się do żółtego, odsuwały od zielonego. To dowodzi że owady te, tak samo jak i my, widzą wszystkie promienie świetlne; czy jednak dostrzegają promienie ciepłe i chemiczne to jest poza czerwone i poza-fioletowe, nie uderzające naszej siatkówki? na to pytanie doświadczenia p. Bert pozwalają odpowiedzieć przecząco. Uczony ten fizyolog jest nawet przekonany, że w obce światła i różnych promieni, wszystkie zwierzęta zupełnie jednakich jak ludzie doznają wrażeń.

(*d. n.*)

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Lwów w Lutym.

(Dokończenie).

Przykład dr. Blumenstocka zachęcić powinien do podobnych prac każdego, kto zna dobrze literaturę swojską a przytem dostatecznie włada językiem niemieckim. O naszych powieściach np. dużo ciekawych rzeczy mogliby dowiedzieć się Niemcy tak zarozumiali a tak ubodzy w tej chwili pod względem literackim. Mamy niejednego powieściopisarza, który może iść w zawody a nawet pod niejednym względem przewyższa współczesnych kolegów niemieckich.

O historykach naszych wiedzą już daleko więcej niemieccy pisarze bo kilku profesorów uniwersyteckich zajęło się badaniami pierwszych okresów dziejów naszych. Szczególnie dr. Zejssberg, który przed kilku laty był profesorem uniwersyteckim we Lwowie a obecnie bawi w tym samym charakterze i jako domowy nauczyciel Cesarzewicza w Wiedniu, przysłużył się nam rzetelnie kilku cennemi pracami historycznemi. Z polskich historyków dr. Liske, profesor lwowskiego uniwersytetu, utrzymuje stałe stosunki z niemieckim światem naukowym i jako autor kilku prac po niemiecku napisanych, jest tam wcale dobrze widziany. Przed kilku laty dr. Liske umieścił w znakomitem niemieckim czasopiśmie historycznem profesora Sybla obszerny artykuł o historykach naszych, który mógł już przekonać Niemców, że nie jesteśmy w nauce tak zacofani jak oni sobie ciągle wyobrażają. Dr. Liske pracuje stale w tym kierunku i podaje dokładne wiadomości o nowych publikacyach historycznych. Praca to bardzo pożyteczna i godna uznania.

Nasi malarze są o wiele szczęśliwsi od pisarzów, bo przemawiając do zmysłu estetycznego zrozumiałym dla całego świata cywilizowanego środkiem, dobijają się wielkiego znaczenia w całej Europie. Od czasu wystawy paryskiej, gdy Jan Matejko odniósł ogromny tryumf, powaga naszych malarzy za granicą wzrasta nieustannie i zmusza do oddania im hołdu

nawet ludzi nam najzawistniejszych. Na powszechnej wystawie wiedeńskiej w danych stosunkach nie mogła być nasza sztuka świetniej i liczniej reprezentowaną, a od tego czasu wszyscy muszą przyznać, że wytworzyła się u nas odrębna szkoła posiadająca głośnego już w całej Europie mistrza i szereg wiele obiecujących uczniów. Jeden z najwięcej utalentowanych uczniów Maksymiljan Gierymski zmarł niedawno w pełnym rozkwicie wieku męzkiego a nad stratą tą bodaj czy zagranica więcej nie ubolewała niż my sami. Nie wiemy, jakiej przyczynie tę obojętność przypisać należy: przeświadczeniu o bogactwie talentów malarskich czy niezdatności do ocenienia własnych skarbów? — Dość na tem, że o Gierymskim znaleźliśmy najlepsze i najgruntowniejsze artykuły dopiero w pismach niemieckich i to właśnie takich, które bardzo źle ukrywają, że rozkwit wspaniały naszej sztuki i rozgłos europejski naszych artystów jest dla nich kością w gardle. Czas już zwrócić na to uwagę, bo niezadługo wypadnie nam wstydzić się wobec świata.

Kronika teatralna da się streścić w jednem słowie: Zimajer! W artystce tej, której niepospolity talent i zajmujące przymioty na scenie, podnieśliśmy już w poprzednich korespondencyach, formalnie zakochała się lwowska publiczność. Wita ją grzmiącą salwą oklasków po każdym akcie, niemal po każdej scenie, wywołuje ją zawsze po kilka razy a coraz tłumniej przybywa na przedstawienia, jeżeli afisze zawierają jej nazwisko. Dyrekcya może powiedzieć, że p. Zimajer decyduje o losie kasy, bo przekonała się o tem już kilkanaście razy. Teatr jest pełny choć grają maleńkie komedyjki jak np. *Zbudziło się w niej serce* albo *O chlebie i o wodzie*, bo pani Zimajer z nieporównanym wdziękiem występuje w roli młodego, naiwnego podlotka: teatr jest pełny chociaż po raz trzeci grają w nim słabą komedyjkę *Ulicznik paryzki*, bo pani Zimajer ma tam rolę rezolutnego i żwawego chłopaczka. Moglibyśmy jeszcze przytoczyć kilka sztuk, które pomimo wątpliwej wartości dla gry p. Zimajer oddają dyrekcyi wielką finansową przysługę. Dyrekcya powinna być umiarkowaną i nie nadużywać tego upodobania publiczności, jeżeli nie ze względu na talent i indywidualność artystki, to przynajmniej w własnym interesie. A stało się już kilka razy, że p. Zimajer otrzymała rolę zupełnie nieodpowiednią swojemu talentowi i musiała narazić publiczność na rozczarowanie.

Odczyty dla kobiet urządzone corocznie przez Towarzystwo pedagogiczne, miały z początku wcale piękne powodzenie. Przed kilku laty piękniejsza część publiczności lwowskiej była bardzo zajętą temi odczytami, sala była zawsze przepełnioną paniami a w dziennikach toczyła się żwawa polemika krytyczna, w którą wplątały się także kobiety. Dziś rzeczy zmieniły się zupełnie na niekorzyść odczytów. Towarzystwo pedagogiczne zapowiedziało na sezon wielkopostny cały szereg odczytów; postarało się o prelegentów posiadających już dość ustaloną reputacyę w lwowskim świecie literackim i naukowym, a mimo to nie obudziło dla swojego projektu żywszego zajęcia. Nie brak może słuchaczek ale wszystkie uczęszczają na odczyty z widocznem zobojętnieniem, jak gdyby zmuszone były do tego jedynie brakiem lepszej rozrywki. Towarzystwo pedagogiczne zawiniło trochę, stawiając nadto poważny, poniekąd nawet oschły program. Czytając napisy odczytów można nawet z góry powątpiewać, czy odpowiedzą one celowi swojemu. Być może, że pod niejednym niepozornym napisem kryje się bardzo zręczny i ciekawy odczyt, ale kto kupuje bilety na pewną rozrywkę nie lubi bawić się w ryzyko. Trzeba mieć wyrozumiałość dla pewnych słabości zasługujących z wielu względów na usprawiedliwienie. Do takich słabości zaliczamy także u płci pięknej zniechęcanie się do pewnej sztuki już na podstawie afisza, albo do pewnej książki i odczytu już po przeczytaniu tytułu.

Dr. B. Ł.

Przegląd literacki.

Odczyty wydawane przez spółkę księgarzy Warszawskich.

Dr. Oppenheimer Wpływ klimatu na człowieka. *Maks. Perty* O parazytyzmie w naturze organicznej. *D. Cohn* Światło i Życie. *Bluntschli* Założenie Unii Amerykańskiej. *Schmoller* O wynikach statystyki zaludnienia i obyczajów.

Jeżeli podejmujemy się mówić o broszurkach tak różnorodnej treści, jak to z nagłówka widać, czynimy to dla tego, że wydawnictwo pomienione nie jest przeznaczonem dla specyalistów, lecz dla wykształconego ogółu publiczności, ma służyć jako czynnik wykształcenia ogólnego. Na kilkunastu kartkach trudnoby nawet było zdobyć się na specyalną naukową rozprawę: dzisiaj specyaliści nie daliby się pozbyć tak tanim kosztem dla tego mniemamy, że zadanie podobnych odczytów stanowi nie tyle udzielenie czytelnikom nowych faktów i wyników badań, ile przedstawienie rzeczy mniej więcej wykształconemu ogółowi przystępnych i znanych w należytem świetle, uzasadnienie poglądu na traktowany przedmiot, zgodnego z celami ogólnego wykształcenia i zaznaczenie związku pomiędzy tym przedmiotem i poglądem nań z jednej, a całym kierunkiem spółczesnej cywilizacyi i jej potrzeb z drugiej strony. Nie wiemy, czy tak pojmowali swoje zadanie sami zagraniczni prelegenci, czy tak pojęli cel swego wydawnictwa nakładcy tych tłomaczonych odczytów; trzymając się wszelako wypowiedzianego dopiero przez nas poglądu, przy ocenie broszurek nie spuścimy z uwagi potrzeb ogólnego wykształcenia i naszego społeczeństwa.

Nie mamy nic przeciwko temu, że historya, ziemioznawstwo, nauki przyrodzone i społeczne dostarczyły treści tym odczytom, czyli raczej że tej treści odczyty wybrali do przepolszczenia nakładcy, ale nie chcemy napotkać pomiędzy niemi suchych i zbyt specyalnych rozdziałów z każdej z pomiędzy owych nauk. Gdybyśmy takie napotkali, musielibyśmy się wstrzymać od ich oceny, a raczej mielibyśmy dla nich tylko słowo potępienia. Zresztą i w innych, wkraczających w sferę nauk przyrodniczych, nie będziemy oceniali prawdziwości podawanych faktów, pozostawiając to fachowym specyalistom: chętnie się tylko podzielimy z czytelnikami tem, czego się nauczymy, a zresztą nie opuścimy określonego powyżej humanitarnego punktu zapatrywania się nawet na przedmioty jak najbardziej realne, gdyż, żywiąc wysoki szacunek dla nauk ścisłych i umiejętności przyrodniczych, jesteśmy tego zdania, że humanitaryzm i realizm nie są bynajmniej ze sobą w takiej sprzeczności, jaką chcieliby pomiędzy nimi upatrywać niektórzy krańcowi zapaleńcy, fanatycy jednostronności, ludzie złej woli lub trwający w dobrowolnem zaślepieniu.

Po tych wstępnych uwagach, zdaniem naszem, niezbędnych, powiemy słów kilka o pojedyńczych broszurkach.

Pierwsza z wymienionych—Wpływ klimatu, jest to krótki zbiór powszechnie znanych wiadomości o temperaturze ciała ludzkiego, o przewodnikach ciepła, o utracie ciepła przez promieniowanie, o różnicy klimatu w rozmaitych krajach przez ludzi zamieszkałych, o wpływie zimy i lata na człowieka i t. d. Właściwie o wpływie klimatu na dzieje ludzkości znajdujemy tu niewiele: raz autor twierdzi że narody północne nie mogą nic trwałego zbudować ani nawet utrzymać się w krajach gorących, przytaczając historyczne dowody (str. 18); to znowu skłania się ku przypuszczeniu możliwości powolnych wędrówek i aklimatyzacyi (str. 27), co niebardzo jedno z drugiem się zgadza.

Pochwalamy umiarkowanie autora, który przyznając wpływ klimatu na umysłowość i duchowy rozwój człowieka, nie chce widzieć w nim najważniejszej ani jedynej przyczyny, jak to czasem utrzymują niektórzy jednostronni badacze; wszelako oprócz ogólnego frazesu jako „trudną jest rzeczą określić wpływ klimatu na umysłowy rozwój człowieka“ i krótkiego, pełnego sprzeczności, ustępu o różnicy pomiędzy mieszkańcami północy i południa, niewiele co dowiadujemy się więcej. Nawet co do barwy skóry, pozostajemy w dawnej wątpliwości, bo chociaż autor powtarza znane twierdzenie, jako barwa skóry zależy od klimatu (str. 28,) ale sam wnet mówi o licznych wyjątkach, w obec których upada niemal prawidło.

W ogóle odczycik może być pożytecznym dla nieobeznanych z elementarnemi wiadomościami w tym przedmiocie, ale dla potrzeb ogólnego wykształcenia o których wspominaliśmy powyżej, nie daje żadnego niemal przyczynku. W przekładzie napotykamy tu i owdzie dziwaczną pisownię („myrthy“ na str. 6, „z koleji“ str. 7), a czasem błędne formy i wyrażenia (np. „przedmiota“ na str. 8, tamże mówi się o różnicy Amerykanów od mieszkańców „Europy *właściwej*, czyżby Ameryka byłą także Europą, lecz niewłaściwą?)

Druga broszurka „O parazytyzmie“ całkiem w odmiennym rodzaju. Po udatnym wcale i obiecującym wstępie, w którym autor skreślił pokrótce historyę wyrazu *parazyt* i dzieje greckich pieczeniarzy, znajdujemy bardzo szczegółowe wyliczenie najrozmaitszych pasożytów roślinnych i zwierzęcych, upstrzone niezliczoną ilością nazw zoologicznych i botanicznych łacińskich. Dla ogółu wszystko to niezbyt zajmujące, dla specyalistów pewno nie wystarczy. Najważniejsze dla ogółu czytelników są ustępy o pasożytach ludzkich, jako to, o najstraszniejszym z nich—robaku gwinejskim, o tasiemcu czyli soliterze i o trychinach; ale i tu znajdujemy tylko rzeczy powszechnie znane. W ogóle ani autor ani tłomacz nie posiadają widocznie talentu wymaganego od pisarzy dziełek popularnych: nawet zajmujące stosunkowo, ustępy skreślone są jakoś niezbyt ponętnie. Zasługuje na uwagę że autor zaprzecza istnienie owej choroby przez pasożytów sprowadzone, której ofiarami, według tradycyi i historyi, mieli paść Sulla, Herod i Filip II; autor zaprzecza nawet istnieniu takiego gatunku pasożytów (str. 32).

Przekład dość starany, choć napotkamy i tutaj błędy jak np. „Dioskoridom“ zamiast „Dioskurom“ (str. 1), „owada“ (str. 13) i t. d. wyrazu „miejscozmienność“ (str. 4) niepochwalamy. Nie mamy pretensyi być mocnymi w terminologii przyrodniczej, ale jakoś dziwnie brzmi dla naszych uszu gromada „dziecionogich“ (str. 6).

Broszurka p. n. „Światło i Życie“ przedstawia się korzystniej od poprzedzającej. Po poetycznym nieco wstępie, w którym mowa o bóstwach światła w starożytnych religijach, znajdujemy tu przedstawienie wpływu światła na kwiaty, na rośliny w ogólności i na zwierzęta. Autor uznaje i rozwija twierdzenie, jako wszystkie siły (a głównie światło i ciepło) pochodzą od słońca: tak np. wywiązujące się z nafty lub węgla kamiennego światło i ciepło, są to wydatki z nagromadzonego w tych meteryałach kapitału siły słonecznej i t. d.

Nie możemy jednak zgodzić się na to, że od słońca pochodzi także i umysłowa działalność człowieka,

którą autor sumarycznie i nawiasowo nazywa, „produktem działalności jego mózgu" (str. 25) — twierdzenie błędne, czysto materyalistyczne. (Porówn. recenzyę pracy Pawlickiego „Mózg i Dusza"). Nie przystalibyśmy jeszcze i na takie zdanie: słońce samo życia stworzyć nie mogło, potrzebne mu było odpowiednie narzędzie—komórka (str. 26). Z logicznego punktu zapatrywania się sądzimy, że ponieważ życie objawia się właśnie w organizmach, z komórek złożonych, a więc w komórkach (roślinnych i zwierzęcych), trudno więc jakoś samą sferę życia, (substrat, jak mówili scholastycy) uważać za *narzędzie*, którego potrzebuje niby słońce do stworzenia życia. Chaos tu logiczny, dowodnie świadczący, jak ostrożnie należy wkraczać w dziedzinę filozofji, zwłaszcza przyrodnikom, nie wiele obeznanym z prawami filozoficznego myślenia.

Czwarta broszurka traktuje o założeniu Unii Amerykańskiej. Mowa tu o niedogodnościach, które wynikły z początkowego uorganizowania Stanów Zjednoczonych jako zbioru państw zupełnie niezależnych, bez władzy centralnej czyli raczej z władzą centralną, pozbawioną wszelkiego niemal znaczenia wewnątrz a więc i wszelkiej powagi na zewnątrz. Taka organizacya trwała od 1778 roku do 1787; dopiero w tym ostatnim roku, przy udziale Waszyngtona i Franklina, a według pomysłu Hamiltona, urządzoną została Unija Amerykańska jako *państwo związkowe* zamiast dawnego *związku państw*, to jest tym sposobem że pojedyńcze Stany zrzekły się cząstki swej władzy na rzecz władzy centralnej, dla dodania przez to tej ostatniej więcej znaczenia i powagi.

Króciutka rzecz ta (21 stronic) wygląda jak wycięte parę kartek z obszernej jakiej historyi Stanów Zjednoczonych. Wiadomości tego rodzaju nie bardzo mogą obchodzić nasz ogół i w ogóle mało mają dla nas interesu: co innego w Ameryce, w Anglji, albo nawet w Szwajcaryi, gdzie ten przedmiot żywo obchodzi publiczność i może dostarczyć treści artykułom dziennikarskim, odczytom i oddzielnym broszurkom. Poruszane tu kwestye mogą być w związku z bieżącemi kwestyami konstytucyjnemi i politycznemi w pomienionych krajach; sądzimy nawet że autor, sam szwajcar, miał na celu wpłynąć na agitującą się w Szwajcaryi kwestyę reformy konstytucyi, w duchu bardziej centralistycznym — praca więc jego była na czasie. Dla nas to wszystko prawie obojętne, dlatego wybór tego odczyciku nie zdaje się nam stosownym: nakładcy dali go przetłomaczyć, niewolniczo idąc za przykładem prasy zagranicznej. Pomimo to wszystko jednakże szanując w ogóle historyą, uszanowalibyśmy i tę jej kartkę, gdyby była przełożoną istotnie na język polski. Język bowiem tłómacza wygląda tak okropnie, każda stronica przeciążona jest tylu błędami, że istotnie dziwimy się, jakim sposobem pięć firm naszych księgarskich mogły położyć swe nazwizka na tej lichej tatdetnej robocie. Wypisanie wszystkich błędów popełnionych przez nieumiejącego po polsku tłomacza zajęłoby nam dużo czasu i co najmniej, moglibyśmy zapełnić niemi 4 stronice, to jest ⅕ całej broszurki; przytoczymy więc tylko niektóre.

Str. 1: Cały ustęp: przyroda osłoniła swoje utwory tajemniczą zasłoną tak że nauki przyrodnicze z trudnością i niezupełnie zdołają jej nieco uchylać *z nowowytworzonych istot?* Łatwiej jest badać pośrednie dzieła, *jakie* człowiek świadomie i swobodnie stwarza; chociaż i tu *wewnętrzna robota twórczej myśli i jej artystycznego wyrobu* (robota wyrobu?) nawet dla filozofa i artysty kryje nie jedną tajemnicę. „Co to wszystko znaczy? — Tamże:" ciało, *przez które* się duch wyjawia.

Str. 4: „ostrzejsze sprzeciwieństwa" (schärfere Gegensätze) używali niewolników *negierskich.*

Str. 9: armija *oswobodzicielska.*

Str. 11: układy stanęły, zaufanie znikło zupełnie, *ażeby* je można (było) doprowadzić do jakiegoś praktycznego wypadku. Po polsku wyrażenie *układy stanęły*, znaczy że zostały zawarte, nie zaś że zostały przerwane, jak to tutaj ma znaczyć. Tamże: niezmierne wydatki przed któremi uchylić się nie mógł.

Te próbki przypominają nam owe słynne swojego czasu z nieumiejętności języka (dziś tak co do formy jak i treści słusznie zapomniane) tomy, wydawane przez Przegląd Tygodniowy.

Nawiasowo dodamy jeszcze uwagę, że na str. 16. czytamy porównanie ze Związkiem Północno Niemieckim, oddawna już jak wiadomo, nieistniejącym.

Odczyt „O wynikach statystyki zaludnienia i obyczajów" najwięcej może zasługują na uwagę, jako najlepszy z pięciu rozbieranych i dla tego o nim pomówimy obszerniej.

Dzisiaj już nietylko zajmujący się statystyką specyaliści, ale i ogół wykształconej publiczności wie dobrze, że niektóre obrachowane przez statystykę fakta i objawy społeczne odznaczają się pewną mniej lub więcej stałą regularnością, i w pewnych granicach, peryodycznością. Tak np. wiadomo że średnio rodzi się wszędzie 105 chłopców na 100 dziewcząt, lecz następnie więcej umiera pierwszych, tak że w liczbie dorosłej ludności zachodzi zwykle odwrotny stosunek to jest na 100 mężczyzn bywa 102—105 kobiet. Przytem rzeczą jest godną uwagi, że po wielkim ubytku płci męzkiej jak np. po wojnie, natura wynagradza tę stratę, gdyż więcej chłopców się rodzi i więcej ich przy życiu pozostaje, a śmiertelność się zmniejsza.

Przyczyny tego zjawiska nie znamy; przypuszczamy tylko że więcej chłopców rodzi się w takich małżeństwach w których mąż jest znacznie starszy od żony, a takie właśnie małżeństwa najczęściej zdarzają się wtedy, gdy liczebnie płeć żeńska znacznie przeważa, a więc po znacznym ubytku ludności męzkiej.

Wiadomo dalej, że najwięcej śmiertelności ulegają dzieci do 5 roku życia: prawie połowa wszystkich zmarłych, a mianowicie 45 procentów przypada na ten wiek. W niektórych państwach na 100 urodzonych dzieci 37 umiera w ciągu pierwszego roku życia. Hoffman obliczył że w Prusach w ciągu 25 lat (od 1816 do 1841 roku) zmarło 4 ½ milijony dzieci, nie doszedłszy do 14 roku życia; następnie, z prawdziwie niemiecką skrupulatną praktycznością, obliczywszy wartość tych zmarłych dzieci na pieniądze, rachując że każde przedstawiało kapitał tylko 100 talarów wyłożony na jego wychowanie, przyszedł do wniosku że państwo straciło w nich kapitał 450 milijonów talarów — sumę, którą możnaby było oszczędzić lub na inne dzieci obrócić, gdyby nie było takiej śmiertelności. *(d. n).*

Od Redakcyi.

Z końcem ubiegającego Kwartału pierwszego w roku bieżącym, Redakcya ma zaszczyt oświadczyć, iż najpewniejszym środkiem odbierania Tygodnika bez żadnej przerwy, jest nadsyłanie należytości prenumeracyjnej wprost do Redakcyi, z adresem wyraźnie wypisanym. Pismo nasze dla uchronienia go od zniszczenia, przesyłamy w opaskach stanowiących koperty otwarte, gdyż zaklejania ich przepisy obowiązujące nie dozwalają.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80**

na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . . rs. 5 — —
Rocznie . . . . . rs. 10.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści, i Przyjaciela dzieci w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956.

Opis ryciny kolorowej.

Fig 1. Ubranie spacerowe. Spódnica, tunika i stanik z baskiną są z materyału szkockiego w kratę, zaś plisowanie przy skośnym wolancie, plisy przy tunice i baskinie, rękawy, kieszonki i kokardy są z gładkiego szafirowego materyału. Guziki oksydowane.

Kapelusz czarny filcowy, przybrany aksamitem, welonikiem i zielonem piórem.

F. 2. Ubranie spacerowe. Przód sukni z popielatej popeliny, ozdabiają w podłuż naszyte plisy aksamitne i takież kokardy. Suty garnirunek, zakończający tylne bryty, składa się z szerokiego wolantu, objętego aksamitem, powyżej dana jest duża bufa oddzielona od dołu i zakończona w górze kilkoma rzędami płaskiego przemarszczenia. Szarfy i węzeł podtrzymujący podpięcie sukni jest z czarnego aksamitu. Szalowy paletocik z ciemno-popielatego doublesztoffu, ozdobiony jest czarnym aksamitem i popielatym futerkiem. Mufka z jedwabnemi sznurami i kwastami i kołnierzyk są z futra odpowiedniego przybraniu.

Kapelusz czarny aksamitny, ma rondko fałdowane podszyte lila materyą i podgarnirowane białem plisowaniem; przez wierzch główki przechodzi strusie pióro:

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się rycina kolorowa.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.